



Andromeda Romano-Lax, „Hiszpański smyczek”

Fragment

Rozdział 1

Urodziłem się pod prawie szczęśliwą gwiazdą.

Należy to rozumieć dosłownie, matka bowiem chciała, żebym nosił hiszpańskie imię Feliz¹. Nie wywiodła go z historii swojej rodziny ani z miejscowej tradycji, lecz zwyczajnie z nadziei, wyrażonej w rodzimym języku, który rozbrzmiewał niegdyś na całym świecie, w Niderlandach, w Afryce, w obu Amerykach i na Filipinach. Tylko muzyka sięgała dalej i zapuszczała korzenie jeszcze głębiej.

Powiedziałem „prawie”, bo imię z powodu jakiegoś biurokraty rozmiłowanego w rejestrach katalońskich świętych zostało zapisane jako Feliu. Tylko jedna litera, a jednak zmieniła mój akt zgonu – tak, nie mylicie się, zgonu.

Ojciec przebywał wówczas za oceanem, oddelegowany na Kubę jako urzędnik ministerialny do spraw celnych. Tamtego popołudnia, kiedy zaczęły się bóle porodowe, starsza siostra ojca wbijała się w najlepszą sukienkę, bo właśnie wychodziła do kościoła. Mama przechyliła się na krześle stojącym nieopodal drzwi kuchni. Kostki rozchylonych nóg wygięły się do wewnątrz, gdy ciężar dziecka ściągnął jej miednicę ku podłodze. Kłykcie dłoni pobielaly na trzcinowym oparciu krzesła, kiedy błagalnym głosem zaklinała szwagierkę, by nie odchodziła.

– Zapalę ci świeczkę – powiedziała *tía*².

– Nie modlitw teraz potrzebuję, potrzebuję... – Mama wydała z siebie jęk, rozpaczliwie wykręcając biodra w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. Zimnej wody? Nocnika? – Pomocy.

To wszystko, co była w stanie wyrzec.

– Poślę Enrique po akuszerkę. – *Tía* wetknęła hebanową spinkę w gęstwą włosów poprzątaną siwymi pasemkami. – Albo nie, sama do niej zajrzę. Gdzie Percival?

Mój najstarszy brat wymknął się z domu kilka minut wcześniej i pobiegł w stronę mostu, gdzie po wysuszonym łożysku strumienia miejscowi pasterze przepędzali na drugą stronę swoje stada. On i jego kumple często przesiadywali pod tym mostem, grając w karty pomiędzy rozrzuconymi skórkami pomarańczy i odłamkami klepek zdezelowanych, cuchnących octem beczek.

Percival był już na tyle dorosły, by ze szczegółami pamiętać poprzednie katastrofy, i nie miał ochoty być świadkiem jeszcze jednej. Ostatnie dziecko mamy zmarło kilka chwil po urodzeniu. Poprzednie przeżyło tylko parę

¹ Feliz – w języku hiszpańskim „szczęśliwy”; odpowiedniki w języku polskim: Feliks, Szczęsny.

² *Tía* (hiszp.) – ciotka.

dni, a mama otarła się o śmierć, powalona gorączką wywołaną zakażeniem. W Campo Seco nie była jedyną, której przytrafiły się nieszczęścia.

Matka obwiniała za to wszystko akuszerkę, przybyłą do miasteczka cztery lata przedtem razem z mężem... rzeźnikiem.

– Nie myje wcale rąk – pomstowała. – Ostatnim razem obejrzałam sobie kleszcze, których używa. Pozrywane na złączach. Złom i rdza. – Zwinęła się z bólu, wciskając poduszki dłoni pod udręczony krzyż.

– Śmieszna jesteś! – *Tía* owinęła głowę koronkową woalką. – Robisz z igły widły. Zamiast się pomodlić.

Pozostała dwójka mojego rodzeństwa, Enrique i Luiza, ze stoickim spokojem znosiła żalosne pojękiwania matki, bez słowa wpatrując się w rosnącą na podłodze żółtawą plamę wód płodowych, którą pięcioletnia Luiza zaraz starła. Pojawiły się krwawe zacieki na wilgotnych ręcznikach. Siedmioletni Enrique zwinął je i wyżał do szerokiej porcelanowej misy. Wyżymając ręcznik po raz trzeci, chłopiec zauważył, że niebieskie kwiaty na pomalowanym dnie naczynia znikły pod warstwą różowawej wody.

Pół godziny po odejściu *tíi* zjawiała się położna. Mama dyszała ciężko i wiła się boleśnie na małżeńskim łożu, pracując ze wszystkich sił, zaciekle walcząc z omdleniem i nie pozwalając zamknąć się powiekom. Dokładnie przeliczyła półksiężyc brudu pod paznokciami akuszerki. Wykręcała szyję, by móc śledzić każdy ruch kobiety, łowiąc kątem oka migotliwy odbłask narzędzi rozłożonych na kwadracie perkalu przykrywającego nocną szafkę i zwój szarego bawełnianego sznurka, który przywołał jej w pamięci obraz ociekającej krwią, owinętej w siatkę pieczeni od rzeźnika. Kiedy dłonie położnej się zbliżyły, mama próbowała zewrzeć kolana, by ochronić mnie przed złym losem. Ale impetu parcia w dół nie dało się powstrzymać. Nadchodziłem.

I wtedy – zupełnie nieoczekiwanie – zarządziłem postój. To, co przedtem poruszało się zbyt szybko, teraz przestało się w ogóle ruszać. Naprężony brzuch mamy zafalował i nadał się po raz ostatni, by przejść teraz w fazę jednego, długiego, nieustającego skurczu. Napięte szczęki opadły. Na jej skroni nabrzmiała błękitna żyła. Ociągając się z odejściem, Enrique starał się nie patrzeć mamie między nogi, tam gdzie połączenie naprężonego ciała z wilgotnym owłosieniem kojarzyło mu się z wyrzuconą na brzeg meduzą, zaplątaną w przybrzeżne trawy. Akuszerka pochwyciła jego spojrzenie i nakryła mamę prześcieradłem. Usunięcie jednego wstrząsającego widoku skierowało uwagę brata na to, czego nie zakryto: na poczerwieniałą, zroszoną potem i zniekształconą bólem twarz mojej matki.

– To był ten moment – mawiała później mama, odtwarzając szczegółowo historię moich narodzin – gdy postanowiłeś się zbuntować. Zawsze kiedy ktoś zbyt mocno na ciebie naciska, robisz coś na przekór.

W rzeczywistości się zaklinowałem: moje stopy wylądowały w pobliżu szyi, dokładnie tyłem do jedynego możliwego wyjścia. Istne żywe *churros*³ wygięte w kształt smyczka.

Akuszerka zrzędziła, podczas gdy jej dłonie popychały, poganiały i masowały wielki brzuch pod luźno upiętym prześcieradłem, a twarz ocieniało coraz większe zwątpienie. Zapominając o Enrique, zerwała prześcieradło i zawyła na widok małej purpurowej moszny w miejscu, w którym powinna ujrzeć ciemność. Patrzyła jak zahipnotyzowana przez dobre dziesięć minut, mnąc fartuch czerwonymi paluchami. Z transu wyrwała ją panika. Nie zważając na przerażoną, zdumioną twarz Enrique i okrągłe ze strachu oczy Luizy, odpychając ich na bok, pomknęła w dół schodami, nieprzytomnie przelatując nad ostatnim stopniem.

Jedyną, co jej zostało do zrobienia, to sprowadzić męża, który znajdował się dwie przecznice dalej i obmywał właśnie pod kranem zakrwawione dłonie. Mogła posłać mego brata lub zawołać z balkonu kogoś z szybkoconogich dzieciaków z sąsiedztwa. Nie była jednak na tyle rolgarnięta. Wiedziała tylko, że trzeci martwy noworodek w jednej rodzinie podsyci niezdrowe plotki. Oczami wyobraźni widziała już morze ciemnych chust

³ Churros (hiszp.) – ciasteczka smażone w oleju, niezwykle popularne w Hiszpanii i Meksyku.

witające ją od tego dnia – plecy wszystkich sąsiadek, twarze odwracające się na jej widok, kłujące zniewagi, gdybym umarł, a wraz ze mną moja matka.

Pozostawiona bez opieki matka zebrała w sobie całą siłę woli, starając się oddychać powoli i głęboko. Poczula się bezpieczniej po odejściu akuszerki, gotowa przyjąć, cokolwiek się wydarzy. Poprosiła Luizę, by przyniosła z piwnicy butelkę wina i przytknęła ostrożnie do jej ust, choć zdawała sobie sprawę, że z powodu mdłości może upić tylko kroplę. Zawołała Enrique, kazała mu wziąć w dłonie kleszcze, zanurzyć je w misce wrzącej wody i być w pogotowiu.

– Nie rozwierają się za dobrze – powiedział, walcząc z owalnymi uchwytyami. Zrobiono je z chropawego żelaza, wyłożonego małymi kawałkami zszytej ciemnej skóry, przypominającej pokryte plamami potu końskie siodło. – Czy szeroko mają się otwierać?

– Odłóż je. Użyj rąk. – Głos miała stanowczy i spokojny.

Poblądł.

Mama usłyszała, że Luiza płacze, i kazała jej zaśpiewać, cokolwiek, którąś z piosenek zasłyszanych na wsi albo *Vamos a la Mar*, wesołą melodię na kilka głosów, którą razem nucili w czasie piknikowych wypraw nad brzeg morza.

– ...i jeść rybę z drewnianego talerza...! – zawodziła drżącym głosikiem Luiza, wciąż od nowa podejmując refren, aż krzyknęła: – Widzę coś! To stopa!

Jeszcze jedno pchnięcie. Wąskie plecki. Z pomocą Enrique na wierzch wychynęło ramię. Mama straciła przytomność. Powiedziano mi potem, że wisiałem tak przez kilka chwil, obraz skrajnego niezdecydowania, z głową w matczynym brzuchu, odmawiając pójścia śladem reszty mojego ziemistego ciała. Aż do chwili gdy Enrique, decydując za nas dwóch, odważnie wepchnął swoją małą rękę w ciemność, zahaczając palcem o okolice mojej brody.

Po ostatecznym, ryzykownym wynurzeniu na powierzchnię ułożył mnie, ciągle przywiązanego pępowiną, na brzuchu matki. Nie było należącego w takich wypadkach klapsa; żadnych wrzasków. Mama na krótko wróciła do przytomności, instruując Enrique, jak ma związać pępowinę w dwóch miejscach szarym sznurkiem i jak przeciąć znajdujący się pomiędzy nimi spłaszczony, posiniały kikut.

Położył mnie na piersi matki, ale nie udało mi się do niej przylgnąć. Jedna z moich nóg zwisała luźniej niż druga, staw biodrowy nie działał jak należy. Nikt nie wyczyścił białawej mazi zatykającej nos. Ręce mamy spoczywały bezwładnie wzdłuż boków, zbyt słabe, by mnie objąć. Był jeszcze jeden mały problem: powieki moich oczu nie mrugały, a klatka piersiowa nie wzbierała oddechem.

– Jest zmarznięte – zawyrokowała Luiza. – Powinniśmy je owinać.

– On jest zmarznięty – poprawił ją Enrique.

– Chłopak... – Matka zdawała się tyleż zadowolona, co zrezygnowana. Policzki pokrył kroplisty pot, gdy pojęła, co się właściwie zdarzyło, i myślała o tym, co jeszcze mogło się przytrafić: narastający ból, unieruchamiająca ciało gorączka, głębokie zanurzenie w niespokojnym śnie, z którego mogła już nie wrócić. – Powiedzcie akuszerce, że to nie jej wina. Z pewnością pojawi się notariusz. W szufladzie znajdziecie niezapisany blankiet z kopertą w środku. Są w niej pieniądze. Wpiszcie na nim imię i nazwisko, żeby nikt się nie pomylił: Feliz Aníbal Delargo Domenech.

Zacisnęła zęby, czekając, aż ustąpi skurcz.

– Czy tu jest zimno, Luizo?

– Jest gorąco, mamó.

– Notariusz da znać księdzu. – Pełnymi ustami zaczerpnęła powietrza, po czym zagryzła dolną wargę. – I grawerowi.

– Grawerowi? – zapytała Luiza, ale mama niczego już nie tłumaczyła.

– Enrique, wiesz, jak poprawnie zapisać: „Aníbal”, jak imię twego stryjecznego dziadka?

Enrique potrząsnął głową.

– Jak imię tego zdobywcy z Kartaginy, człowieka ze słoniami.

– Nie wiem – zaproponował brat, bardziej chyba przerażony koniecznością zapisania moich personaliów niż wcześniejszym wyciąganiem opornego dziecka z łona matki.

Długi rejestr powinności oraz zadań, które ją czekały: list do taty, odwiedziny krewnych, pochówek – wyczerpały resztkę sił życiowych mamy. Zamknęła oczy i przewracając głowę z jednej strony na drugą, usiłując złapać haust powietrza, zaczęła literować: „A-N-Í-B...” – po czym znów zemdląła.

Luiza i Enrique nie zrozumieli, że mama uznała mnie już za martwego. Zawinęli oseska w pieluchę i znieśli do chłodnej piwnicy z podłogą z ubitej ziemi, którą tata pogłębiał i poszerzał, gdy przejazdem bawił w domu. Zawsze marzył o produkcji i eksporcie wykwinnych likierów, których magazynem miał być loch pod naszą trzypiętrową kamienicą. Inne rodziny w okolicy z powodzeniem realizowały zamiary ojca. Co roku, dokładnie o tej samej porze, czternaście gatunków słodkich likierów – od trawiastozielonych do miodowożłoty, pachnących ziołami i orzechami laskowymi – tłoczono, butelkowano, a potem transportowano z Campo Seco i okolicznych wiosek. Mieliśmy winorośle, stację kolejową oraz kontakty: Katalończycy, podobnie jak Baskowie czy inne starożytne ludy trudniące się żegluga, handlowali z powodzeniem na długo, zanim powstało jednolite państwo nazywane Hiszpanią.

Na razie jednak piwnica nasza była prymitywnym pustym pomieszczeniem, z jedną ledwie ociosaną ławą i naprędcie skleconym stołem, złożonym bez pomocy śrub ani gwoździ – mniej więcej przy takim trzy stulecia wcześniej mógł zasiadać do kolacji Don Kichot. Na tym właśnie stole Luiza postawiła garnek z chłodną wodą i serwis do gorącej czekolady z delikatnymi filiżankami w kształcie liści tulipana. Układając to wszystko, poszturchiwała mnie porozumiewawczo z poważną miną. Przedtem zdażyła wcisnąć mi na pokrytą śluzem głowę jedną z czapek, w które zwykle stroiła swoje lalki. Teraz próbowała umazany kawałek palec wetknąć między moje sine wargi.

Enrique zmienił zakrwawioną koszulę i wbił się w prezent od ojca – za mały już mundurek wojskowy, który wkładał, gdy szedł na bal kostiumowy, by czuć się wygodnie. Ujął w dłonie sporządzony domowym sposobem flet. Wiejskie instrumenty zawsze przyprawiały mamę o ból zębów, toteż mój brat przywykł do grania w piwnicy. Ciepłe, drżące, gorzkie w smaku palce Luizy i piskliwa melodyjka sprawiły, że po raz pierwszy otworzyłem uszy, oczy i usta. Sposobiłem się do życia.

Na górze słyhać było kroki akuszerki, która wreszcie powróciła. Nie zastawszy dziecka i stwierdziwszy, że mama jest na wpół przytomna, posłała męża, by o wszystkim powiadomić księdza, po czym zabrała się do masowania rozciągniętego brzucha położnicy, żeby wywołać skurcze, wydalające resztki błon płodowych i powstrzymujące upływ krwi. W przywróconym do równowagi umyśle akuszerki nie było miejsca na podziękowania – ani dla mojego rodzeństwa za to, że usunęło materialny dowód tragedii tego dnia, ani dla Boga, że oszczędził jedno życie, choć bez trudu mógł zabrać dwa.

Enrique usłyszał krzyk matki, która najwyraźniej już odzyskiwała wigor, jednocześnie zaś energiczne stukanie do drzwi. Wspiął się po drabinie prowadzącej na korytarz, a gdy przedostał się do przedpokoju i otworzył ciężkie frontowe drzwi, ujrzał notariusza, czekającego tak, jak przewidziała matka.

– Zaprowadź mnie do akuszerki, proszę – rzekł, przekrzykując wrzask z sypialni.

– Jest zajęta. Proszę zaczekać.

– Czy dziecko jest tam, razem z nimi?

– Nie. Zanieśliśmy je już do piwnicy.

Skrzywił lekko usta.

– Nie mogę tutaj długo zostać, rozumiesz. Będzie... – zawiesił głos.

– Śmierdzieć? – próbował zgadnąć chłopiec.

– No cóż, hm. Ale chyba nie tak zaraz.

– Już zaczęło.

Notariusz pokiwał głową.

– Stało się – powiedział. – Nie ma w tym niczyjej winy.

– Położna nie jest winna. Tak powiedziała mama. Proszę zaczekać, koperta!

– A twoja ciotka? – zapytał, ale brat gnał już schodami w górę po pieniądze.

– Jest w kościele – Enrique rzucił mu przez ramię. – Zapala świece.

– Rozumiem.

Czekając na powrót Enrique, notariusz, garbiąc plecy, wyrzwał na ulicę. Postąpił kilka kroków naprzód po ganku przed drzwiami kamienicy. Przechodzący mężczyźni nie zwracali nań uwagi, lecz kobiety polały go z balkonów kubłami wody, by zaprotestować przeciwko podatkowi od żywności, jakim urząd miasta obłożył każdy towar rozładowywany na kolei. Chwała Bogu, że nie użyły wrzątku lub – niech Bóg uchowa – oleju. Na jedną ze szczególnie krewkich matron nałożono grzywnę za poparzenie jego poprzednika. Wiódł tutaj niełatwą egzystencję, obsługując rozmaite instytucje i firmy, przybijając pieczęć tu, nakładając takse tam, a na boku sporządzając też oficjalne akty notarialne i redagując ważne listy dla więcej niż połowy ludności wiejskiej, która składała się z analfabetów. I pomyśleć, jak poszukiwali go, kiedy trzeba było poświadczyć jakiś handel ziemią albo gdy ktoś chciał na piśmie wymigać się od poboru. O nie, wtedy nie było wiader z wodą!

Mniejsza z tym, bo właśnie wracał mój brat, zdyszany do utraty tchu po bieganinie w tę i z powrotem po wysokich drewnianych schodach prowadzących do sypialni mamy.

Razem wypełnili formularze, potykając się o pytania, nieprzewidziane przez matkę, na które Enrique nie znał odpowiedzi: na przykład jak brzmiało nazwisko babki ze strony mamy? A ze strony ojca? Miejsca urodzenia rodziców? Przez cały ten czas gryzł się nieszczęsnymi czterema imionami, które zdołał spisać chybotliwymi bazgrołami: moje pierwsze imię odczytał szybko i bez trudu, z drugim, które niepokoiło go najbardziej, poszło dużo gorzej.

– A-n-í-b-a-l. Da pan radę to odczytać? – dopytywał się strapiiony dzieciak.

– Tak, w porządku.

Ale żadne z nich nie zauważyło, jak notariusz spartaczył moje pierwsze imię, mylnie odczytując końcowe „z” jako długie, ogoniaste, niechlujnie rozciągnięte „u”.

– Pieniądze. – Enrique wysunął zaciśniętą pięść.

Notariusz rozwarł palce dłoni brata i przeliczył ukryty w jej wnętrzu skarb.

– To za mało. Będę sporządzał dwa świadectwa.

W tym momencie w drzwiach stanęła *tía*. Jej czarna spódnica splątała się u kostek, wzbijając pyłki kurzu w jasnym snopie światła, w którym skąpany był przedpokój.

– Co to ma znaczyć? – zapytała, odpychając notariusza, który w geście powitania dotknął palcami kapelusza. Odciągnęła Enrique na bok i wlepiła wzrok w świadectwo notarialne, które urzędnik trzymał w poplamionej atramentem dłoni. Odczytując słowa, przeżegnała się.

– Chłopiec zapłacił mi za pierwsze, będę potrzebował jednak pieniędzy jeszcze za to drugie.

– Dlaczego dwa, jeśli dziecko urodziło się martwe?

– Nie mogę wydać świadectwa zgonu bez metryki.

– Ale czemu nie może pan wstawić formuły „urodzony jako martwy” na świadectwie urodzenia i zostawić wszystko tak, jak jest?

Notariusz z przyzwyczajenia schował głowę w ramionach, wtykając brodę poniżej sztywnego, wysokiego kołnierzyka.

– Powinien się pan wstydzić, że przychodzi przed księdzem – warknęła *tía*.

– Spełniam tylko obowiązki, seño. Jestem...

– Sępem.

– ...powołanym prawomocnie przedstawicielem władz prowincji – dokończył.

– Wątpię, czy sporządził pan dwa świadectwa, kiedy zmarło nowo narodzone dziecko señora Petrilla. Pan wie, że szewc nie zarabia dużo, ale o nas myśli, że mamy więcej, niż zarabiamy. Biurokracja – mruzczała gniewnie ciotka.

Notariusz przerwał jej w pół słowa, wskazując ręką schody.

– Jest pieczęć, to znaczy, że usługa została wykonana. Opłata musi być uiszczona.

– Formalizm przed duchowością. Oto w jakim kierunku zmierza ten kraj.

– Matka chłopca dobrze to rozumie. Bez tych świadectw ojciec nie mógłby podjąć zasiłku pogrzebowego. Szewc nie pracuje dla rządowej administracji kolonialnej. Nie ma prawa do zasiłku.

Gdy tak się kłócili, żadne z nich nie zauważyło, że Enrique przestępuje z nogi na nogę, usiłując wtrącić się do rozmowy. *Tía* zaczęła miąć palcami dno swej skórzanej torebki, nie przestając mamrotać o upadku pobożności oraz problemach królestwa, podczas gdy notariusz cierpliwie kiwał głową. W końcu, gdy dodatkowo wysuportane miedziaki i dwa odręczne egzemplarze obydwu świadectw przeszły z rąk do rąk, *tía* zwróciła się do mego brata.

– W tył zwrot i jazda stąd – nakazała, zirytowana jego podrygami – zanim spotka cię coś złego.

– Nie muszę nigdzie iść.

– Tak? A to co znowu?

– Feliz nie umarł.

– Kto?

– Dziecko, Feliz.

– Chłopcu coś się pokręciło – wtrącił się notariusz. – Dziecko nazywało się Feliu.

Mówiąc to, stuknął palcem w świadectwa, które *tía* miała w dłoniach.

Czytała akt, mrużąc oczy.

– Szlag by mnie trafił, gdybym się dowiedziała, że źle zapisał pan imię.

– Pochodzi od naszego świętego. Oznacza kogoś, komu się powodzi, jak sądzę.

– Też mi powodzenie, przyjść na świat martwym – zamruczała *tía*.

Enrique spróbował jeszcze raz.

– Ale to dziecko jest w piwnicy. Możecie zejść zobaczyć.

– Potrzebna mi jeszcze akuszerka. Tu i tu. – Pukał palcem w dokument. – Będzie musiała postawić swój znak – rzekł, akcentując kwaśno ostatnie słowo, dokładnie w tym momencie, gdy na schodach rozległ się odgłos ciężkich kroków zmierzającej na dół kobiety.

Położna przywitała dorosłych znużonym ruchem głowy, postawiła swój krzyżyk tuż nad koniuszkiem poplamionego atramentem palca notariusza, po czym zwróciła się do *tíi*:

– Teraz czuje się już całkiem dobrze. Proszę dopilnować, by przez tydzień nie chodziła po schodach. Ale nawet wtedy, jeśli krwawienia się nasilą... – Przerwała na chwilę, oczekując, że notariusz przeprosi panie i pożegna się, tak by mogła przekazać więcej instrukcji dotyczących sfery intymności. Ale gdy nie zrobił nawet ruchu, żeby odejść, zmieniła temat. – Mogę wziąć na siebie rozmowę z cieślą w sprawie trumny. Ale będzie potrzebował miary, by nie marnować drzewa. Jeśli wyda mi pani ciało, mam z sobą trochę sznurka, żeby je obmierzyć.

Tía zjeżyła się oburzona.

– Chce pani powiedzieć, że nie przyjrzała mu się dobrze?

– Od razu pobiegłam szukać pomocy. W ogóle go nie widziałam. Nie ma go w sypialni.

– Jest w piwnicy – znów przypomniał się Enrique, po czym naprawdę podniósł głos, zaciskając pięści w desperacji. – Feliz jest w piwnicy!

– Skończ z tym nonsensem! – ryknęła *tía*. – Felix albo Felicjano, może Feliu? Ale kim jest ten Feliz? Wyobrażam sobie – ciągnęła, zwracając się do akuszerki – że spodziewa się pani pełnej zapłaty, choć tak naprawdę przegapiła pani poród.

Nikt nie zauważył mojej matki schodzącej po schodach. Stawiała jeden bolesny krok, a potem, po dłuższej chwili, następny, bladą dłonią chwytając się poręczy. Usiadła na najniższym stopniu. Jej koszula nocna sfałdowała się wokół nagich stóp. Wilgotne ciemne włosy opadały na odkryte, zsiniałe ramiona.

– Chciałam tylko, żeby moje dziecko było szczęśliwe – powiedziała. A potem odezwała się głośniejszym głosem, tak że notariusz, akuszerka, *tía* i Enrique naraz odwrócili się w jej stronę. – Nie powodzenia, sukcesu dla niego pragnęłam, tylko żeby był szczęśliwy.

– Widzicie? – triumfował Enrique.

Akuszerka otworzyła usta, by skrzyknąć matkę za wyjście z łóżka, notariusz ściągnął brwi, przygotowując się do obrony ortografii na wystawionych świadectwach, *tía* zwarła szczęki, gotowa sięgnąć do ostatnich zasobów swych mądrości życiowych. Ale zanim zdecydowali się przemówić, przesywający wrzask wydobył się przez otwartą klapę z piwnicy. Z ciemnej czeluści wyłoniła się główka Luizy, a potem ramiona, w których nadal spoczywałam bezwładnie jak szmaciana lalka.

– Szczęśliwy?! – krzyknęła Luiza, zagłuszający gniewny kwik, który wydobywał się z mego gardła. – Jasne, że nie może być szczęśliwy z tym czarnym czymś, co wisi mu przy tyłku. Zaczął się wydzierać, kiedy próbowałam go wyczyścić, a teraz aż posiniał.

Dorośli rozdzielili usta, nie mogąc złapać tchu, gdy tak się chwiała, łapiąc równowagę na ostatnim szczeblu drabiny. Jedną dłoń zaciskała na moim drżącym ciele, drugą usiłowała uchwycić podniesioną klapę. *Tía*, akuszerka i notariusz stali jak wryci. Mama uniosła ręce, jednak zbyt słaba, aby powstać. Tylko Enrique przystąpił natychmiast do działania, wyrывая mnie z niepewnych ramion siostry i pomagając jej wygramolić się z piwnicy. W zamieszaniu, które się teraz rozpętało, nikt już nie pamiętał o certyfikatach.

Matka śmiała się przez wyschnięte łyzy, gdy Enrique złożył mnie na jej podolku.

– Nazywajcie go, jak chcecie, mam to gdzieś.

I począwszy od tej chwili, rzeczywiście miała. Pierwotną, oczywistą w swej prostocie nadzieję szczęścia dla syna przehandlowała na inną, bardziej podstawową: żebym przeżył.

Tía z położną ocknęły się z odrętwienia i stanęły obok matki. Chwyciły ją pod łokcie, pochlebstwami przyspieszając powrót do sypialni, po czym próbowały odebrać mnie z jej ramion, gruchając przymilnymi szeptami, by powstrzymać mój płacz.

– Zostawcie, pozwólcie mu się wypłakać – zawyrokowała stanowczo mama, odmawiając udania się na górę. Odpinając górne guziki koszuli nocnej, sposobila się do wydania mi, tu na schodach, pierwszego matczynego posiłku. – *Es la música más linda del mundo*.

Tak, dla niej moje zawodzenie było naprawdę najpiękniejszą muzyką świata.